

— Jego Eminencya ksiądz biskup przypomniał sobie, że nie ofiarowano panu przywileju czuwania przy trumnie.

Przestraszyła mnie ta myśl, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Ksiądz biskup bardzo przeprasza za to przeoczenie i pyta, czy pan sobie życzy czuwać?

Zrozumiałem, że odmową dotknąłbym duchownego.

— Będę to sobie poczytywał za zaszczyt — odpowiedziałem. — Kiedy mianowicie?

— Od północy do godziny drugiej — odpowiedział ksiądz. — Dalsze godziny czuwania już są obsadzone.

— Zgoda — odpowiedziałem po chwili.

Ksiądz pożegnał się i wyszedł.

O pięć minut przed dwunastą zapukałem do północnego wejścia katedry. Zakrystyan z zapaloną świecą w ręku wpuścił mnie odrazu. Nie było innych świateł, prócz tej świecy i czterech świec woskowych, palących się w czterech narożnikach katafalku; zresztą ogromne wnętrze kościoła tonęło w ciemności. Zakrystyan w milczeniu wskazał mi katafalk, ustawiony w presbiterium; nieśmiało przebyłem mroczną, dzielącą mnie przestrzeń, a kroki me jakoś strasznie rozbrzmiewały w ciszy. Dwóch młodych księży stało po obu bokach trumny. Jeden z nich mi się uklonił, a ja zajęłem jego miejsce. Wyszedł. Drugi ksiądz odmawiał modlitwy za umarłych; zmarszczka skupienia fałdowała jego białe czoło. Plecami odwrócony był trochę od ciała i zdawało się, że mnie wcale nie zauważył.

Skrzyżowałem ręce na piersiach i chąc rozprószyć trochę zmącone, niespokojne myśli, rozejrzałem się wokoło. Nie miałem odwagi spojrzeć na purpurowy płaszcz, nakrywający śmiertelne szczątki Alreski. Sami byliśmy — ksiądz ja i Alreska — i bałem się. Napróżno rozglądałem się po witrażach okien, oświetlonych słabo gwiazdzistą sierpniową nocą, po pięknie rzeźbionych stalach chóru i starzych gotyckich ołtarzach. Bałem się — strachu zwyciężyć nie mogłem... Nagle zegar na wieży wydzwonił dwunastą. Wślad za tem zagrała na dzwonach uroczysta żałobna melodia.

— Skąd to pochodzi? — zapytałem księdza, nie bacząc, że nie wolno rozmawiać w czasie czuwania.

— To gra dzwonów — odpowiedział, przerywając swoje modlitwy ksiądz, trochę niechętnie. — Nigdy pan tego nie słyszał? Co noc od dnia śmierci grają dzwony o północy na pamiątkę Alreski.

I zatopił się znowu w modlitwie.

Upływały minuty, a mój niepokój wzrastał. Przechodziłem wszystkie lęki i trwogi, jakie znoszą ci, co spędzają noce bezsenne, podlegające złym przywidzeniom i strasznym przecucom. Poprzez to wszystko czułem chłód kamiennej posadzki, mrozącej mi stopy...

Trzeci kwadrans po pierwszej wybił i już zacząłem się cieszyć, że nadchodzi koniec mojej męki. Śmiało spojrzałem na cień głębokiej nawy, wyrzucając sobie nieokreślone moje lęki. I wtedy, w chwili gdy starałem się przebić okiem ciemności bocznej kaplicy, spostrzegłem, że stoi tam człowiek. Chciałem zwrócić na niego uwagę księdza — ale nie mogłem... nie mogłem. Spokojnie wyszedł z kaplicy i cichymi krokami podszedł w górę nawy. Podszedł po stopniach prezbyteryum i zbliżył się do nas; stanął u stóp katafalku; stanął o dwa kroki ode mnie. Ksiądz odwrócony był do niego plecami. Mężczyzna zdawał się nie uważać na mnie, wzrok miał utkwiony w trumnę. Ale ja wiedziałem, kto on jest. Znałem tę piękną, surową, dumną twarz, tę postawę sztywną, to nieugięte spojrzenie. To był tensam, którego widziałem stojącego pod drzewem na ulicy Oxford-Street, naprzeciw hotelu Alreski. Przez kilka chwil twarz jego nie zdradziła żadnego wzruszenia. Lecz nagle rysy jego przybrały wyraz niewymownej złośliwości. Z szatańskim tryumfem drwił z majestatu śmierci, wzdurliwym, obraźliwym skurczem twarzy urągał zmarłemu...

Przyznaję, że stałem jak zaczarowany zdziwieniem i grozą. Powinienem był usunąć tego święto-

kradczego gościa, zawołać na księdza — ale nie mogłem... Drżałem przed tym tajemniczym człowiekiem. Kolana moje dosłownie trzęsły się i ugiwały. Poznałem, co to strach... Stchórzyłem... Wreszcie on odwrócił się, rzucił mi jakieś nieokreślone spojrzenie i powoli, z godnością odszedł w głąb nawy i zniknął.

Wtedy, ale dopiero wtedy, odzyskałem głos i odwagę. Pociągnąłem księdza za rękaw sutanny.

— Ktoś był w tej chwili w katedrze — szepnąłem głucho. I opowiedziałem mu, com widział.

— To być nie może! *Retro me Satanas!* To było przywidzenie — mówił sucho, ostro.

— Nie, nie — podchwyciłem żywo. — Ja mogę zapewnić...

Uśmiechnął się z niedowierzaniem i powtórzył raz jeszcze;

— To proste przywidzenie!

Ale ja dobrze wiedziałem, że to nie było przywidzenie i że tego człowieka widziałem rzeczywiście.



Przywitaliśmy się z Rozą w milczeniu...

Rozdział VIII.

Wróciwszy po wzruszającej i malowniczej uroczystości pogrzebowej do domu Alreski — należało powiedzieć „do mojego domu“ — zastałem bilecik od Rozetty Rozy, proszący, bym ją odwiedził w Hotel du Commerce. To była pierwsza od niej wiadomość od chwili, gdy tak nagle opuściła widownię śmierci Alreski. Wybrałem się natychmiast do wskazanego hotelu i właśnie wychodząc, spotkałem się z moim anglo-belgijskim prawnikiem, który doręczył mi wielką kopertę, zaadresowaną do mnie pismem Alreski; na kopercie był dopisek „osobiste“. Prawnik, który zajęty był sortowaniem i przeglądaniem ogromnej ilości różnych przez Alreskę pozostawionych papierów, oświadczył mi, że dziś dopiero odnalazł to pismo. Włożyłem kopertę do kieszeni i szedłem dalej do hotelu Rozy. Później dopiero uświadomiłem sobie, jak pilno mi było nanieść ją znowu.

„Hotel du Commerce“ jest to główny hotel w Bruges. Zaledwie wszedłem w bramę, podszedł do mnie lokaj.

— Przepraszam pana, ale nie mamy pokoi.

— Dla czego mi pan to mówi?

— Przepraszam. Myślałem, że pan potrzebuje

pokoju. Panna Rozetta Roza, wielka śpiewaczka, tu mieszka i wszyscy Anglicy z „Hotel du Panier d'Or“ przenieśli się do nas, by mieszkać tam, gdzie ona.

— Mnie pokoju nie potrzeba — odpowiedziałem — ale przyszedłem złożyć uszanowanie tej pani.

— Ach, co do tego zapytam się, proszę pana.

Odrazu przybrał wyraz kamienny.

— Proszę poczekać. Oto mój bilet.

Przyjął bilet z taką miną, jakby chciał powiedzieć, że to jeszcze niczego nie dowodzi. Po chwili ukazał się inny lokaj i przepaszając uprzejmie, zaprowadził mnie do prywatnego saloniku Rozy. Gdy wchodziłem, wyszła stamtąd młoda, ciemnooka kobieta w czarnym fartuszk, najpewniej panna służąca Rozy. Przywitaliśmy się z Rozą w milczeniu i z pewnem zakłopotaniem. Otulona w miękką, powłóczystą czarną suknię, spoczywała w fotelu. Piękna twarz jej była śmiertelnie blada; pod oczami o rozszerzonych źrenicach były sine kręgi.

— Pani chorowała — zawołałem — a mnie nikt o tem nie powiedział!

Wzruszyła ramionami przecząco i wstrząsnęła się dreszczem.

— Nie — odpowiedziała krótko i umilkła. — On już pochowany?

— Tak!

— Niech mi pan o tem opowie.

Pragnąłem rozpytać się bliżej o jej zdrowie, lecz ton jej był prawie rozkazujący, a ja dziwnie się bałem obrazić ją. Będąc jednak lekarzem i zaniepokojony o nią, pytałem jeszcze:

— Ależ pani z pewnością musiała być cierpiącą?...

Tupnęła nóżką. Po raz pierwszy zauważyłem u niej odruch niecierpliwości.

— Fizycznie nie — odpowiedziała krótko. — Niech mi pan opowie wszystko o pogrzebie.

Zdałem jej przeto sprawę z wzruszających szczegółów pogrzebu, opowiedziałem o wspaniałym pochodzie, o uroczystym nabożeństwie i o dowodach ogólnego żalu. Okazywała dziwną, chorobliwą ciekawość co do wszystkiego tego. A potem wstała ze swego fotelu i ja także wstałem i zapytała mnie, jak gdyby nie mogąc oprzeć się wewnętrznemu przy-
musowi:

— Pau go kochał, nieprawdaż panie Foster?

— Przywiązałem się do niego z całego serca — odpowiedziałem. — Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym się do kogo tak przywiązać w tak krótkim czasie. To nie tylko był szlachetny artysta, to był i szlachetny człowiek.

Skinęła głową.

— Pan go rozumiałeś? Pan znałeś go dobrze? Mówił z panem otwarcie, nieprawdaż?

— Tak — odpowiedziałem. — On mi wiele mówił o sobie.

— To niekiedy mi pan wytłuma-
czy — zawołała i łzy zabłysły w jej

oczach — dla czego on umarł, w chwili, gdy ja przybyłam?

— To był prosty zbieg okoliczności — odpowiedziałem głosem niepewnym.

Chwyciwszy moje ręce, uklękła przedemną i spojrzała mi w oczy błagalnie.

— To nie był prosty zbieg okoliczności — przemówiła, łkając. — Dla czego nie może pan być ze mną szczerym i powiedzieć mi, jak się stało, że to ja go zabiłam? On dawno to powiedział — nie pamięta pan? — że ja mu nieszczęście przynoszę. Odzyskiwał zdrowie — pan sam to powiedział — dopóki nie przybyłam, a gdy przybyłam, umarł!

I cóż ja na to odpowiedzieć mogłem? W tej chwili ona sama wypowiadała myśli, które mnie prześladowały przez cały ten czas... Starałem się uśmiechnąć uspokajająco i podniósłszy ją z kolan delikatnie, zaprowadziłem z powrotem na fotel.

(Ciąg dalszy nastąpi.)